Nowe przykazanie

W Wasilkowie wyczuwało się niepewność i zgrozę. Komuniści opanowali widzialne sfery życia, nie mogli jednak wejść do ludzkich wnętrz ani skontrolować tego, co się dzieje w piwnicach domów, w kościelnych zakrystiach czy w pobliskich lasach. Tam krzepło drugie dno codzienności, świat, który nie godził się na porządek narzucony przemocą, na rzeczywistość pozbawioną wolności i Boga, na Polskę odciętą od tysiącletniej tradycji, okrytą czerwonym sztandarem i ateistyczną ideologią.

Żyłyśmy z Teofilą w ciągłym nasłuchiwaniu, że coś się wyjaśni, że przyszłość okaże się w pewien sposób przewidywalna. Przypuszczałyśmy, że gdy tylko Józef wróci z wojny, od razu zaangażuje się w podziemną walkę. Nie będzie – znałyśmy go dobrze – mógł żyć jak zniewolony pies, zdając się na łaskę sowieckich prześladowców. Nie zgodzi się na to, by wszechobecny strach wyznaczał sposoby zachowania i myślenia. Obawiano się głównie bolszewików, których rozpoznawano jako zwiastunów rodzącego się piekła, rozpadu, butwienia utrwalonych w tradycji więzi międzyludzkich.

– Wiesz – rzuciła mimochodem Teofila, kiedy rozwieszałyśmy ubrania dzieci na sznurze przeciągniętym między ogrodowymi jabłoniami –

coraz bardziej staję się obojętna na dziejące się wypadki. Widzę, jak ludzie tracą poczucie godności; wojna doprowadziła do tego, że zachowują się niczym rozjuszone wilki. Pewnie im się wydaje, że to, na co pozwalały warunki okupacyjne, nadal pozostaje w mocy. A trzeba pozbyć się tych urazów. Co prawda, nadal jesteśmy gnębieni, lecz można wyjść na ulicę z przekonaniem, że nie zostanie się zastrzelonym albo wywiezionym na Sybir. Socjalizm, jak słyszę, ma mieć ludzką twarz.

– Chciałabym w to wierzyć, ale jeszcze długo pozostaniemy w niewoli, tak szybko nie wydobędziemy się z biedy i grozy.

– Jak to? Nie ma w tobie choćby iskry, dzięki której możemy wychowywać twoje dzieci, zdobywać pożywienie, zbierać wczesną zimową porą żurawiny, czekać na Józefa? Tyle radości przynoszą te drobne sprawy, tyle w nich, powiedziałabym, ukrytego piękna.

– Otuchę daje modlitwa za Daniela. Wciąż o nim myślę, jakby nigdy stąd nie odjechał. Nie potrafię tych przeżyć wytłumaczyć. Widzę też przed sobą Józefa, jak biegnie do mnie, wspina się na palcach, bym mogła go już z daleka zobaczyć. W jaki sposób mam rozdzielić swoje serce? Jak tym sercem – kiedyś o tym już rozmawiałyśmy – kochać dwóch mężczyzn? Kochać z taką samą intensywnością, czy może jednego mniej, a drugiego więcej? Pamiętasz, Teofilo, że umówiłam się z Danielem w pewnej kwestii.

– Nie, nie pamiętam.

– No że połączy nas na wieczność nowe przykazanie. Nazwałam je jedenastym przykazaniem. Daniel stanowi cząstkę mnie samej, przenika mnie, płynie w mojej krwi, a ja wiruję w jego oczach, tańczę na brzegu jego ust. Wzajemnie sobie pomagamy, choć nie możemy się już spotkać.

– Ach, Franciszko – szepnęła Teofila. – Gdybym wiedziała, co masz zrobić! Ale nie wiem. Na szczęście, o ile można to nazwać szczęściem,

nie wiemy dokładnie, gdzie jest Daniel, a Józef, oby powrócił jak najszybciej.

– Coś kruszy mnie na drobne kawałki. Za cokolwiek się zabiorę, nie potrafię tego zakończyć, wszystko rozpływa się w moich rękach. Żyję jak we mgle.

– Widzę właśnie, że ty, Franciszko, ugrzęzłaś w jakiejś wewnętrznej ciemności. Zatrzymałaś się na progu, poza który nie możesz wyjść. Zaufałaś miłości, czy jednak miłość wszystko tłumaczy?

– Tak, na pewno tak! Ważne, żeby z nią się nie licytować, nie ścigać. Tylko ona nadaje życiu sens.

– Jak to dobrze, że przyjęłam was pod swój dach. Inaczej nie zrozumiałabym, tak do końca, swego tercjarskiego powołania, które – jak czytałam w pismach papieża Leona XIII – jest biletem wstępu do nieba.

– Teofilo, ale ja z Józefem niewiele mamy wspólnego z twoim trzecim zakonem. Jesteśmy zwykłym i ludźmi, gdzież nam do takich honorów!

– Zastanów się, czy każdego dnia nie rozpoczynamy z Bogiem, czyniąc szlachetną intencję: „Wszystko dla Pana Boga, wszystko w Bogu i przez Pana Boga wykonywać przez cały dzień". Czy przynajmniej kwadransa nie poświęcamy na rozmyślania duchowe, czy nie prosimy Pana Boga o pomoc w trudnych momentach życia, świętego Anioła Stróża o przestrogi w sumieniu, a Najświętszej Maryi Panny o macierzyńską opiekę?

– No tak, ależ tak – potwierdziłam.

– Przyznaj, że ćwiczymy się w cnotach, jak najprawdziwsze zakonnice, choć ty nosisz strój małżeński. Czy jednego dnia w miesiącu nie obieramy sobie na przygotowanie się do dobrej śmierci, w tym dniu rozmyślając w sumieniu o śmierci? Czy nie spowiadamy się wtedy i nie czynimy mocnego postanowienia poprawy z grzechów, które są przyczyną złej

śmierci? Od wielu lat w ten sposób postępujemy. Zgódź się, z wszystkich możliwych sił naśladujemy świętego Franciszka z Asyżu.

– Dobrze, niech będzie. – Obym tylko doczekała powrotu męża. Może jego widok umniejszy tęsknotę za Danielem, choć wcale tego nie pragnę – spojrzałam Teofili prosto w oczy.

Na te słowa Teofila zatrzymała się w miejscu, ścisnęła mocniej w ręku ociekający wodą sweter i usiadła na trawie. Nie mogła przeniknąć mojej duszy, mojej trudnej do wyobrażenia nostalgii za czymś nieodgadnionym. Pojęła, że wcale nie chodzi mi o bezgrzeszne istnienie, ale o czułość, o uczynienie z samej siebie miłosnej ofiary. Oddanie się całkowite komuś, kto na miłość odpowiada miłością i poświęceniem. Józef nie był takim człowiekiem, a Daniel?

Pod wieczór w mig rozeszła się wieść, że jeden z oddziałów partyzanckich rozbił posterunek Milicji Obywatelskiej oraz napadł na patrol Armii Czerwonej. Podczas potyczki nikt nie zginął, gdyż atakujący bardzo szybko wycofali się do swoich leśnych obozowisk. Następnego dnia Teofila z wdzięcznością wysłuchała sprawozdania z tego zajścia.

Okazało się, że siły partyzanckie były zbyt nikłe, by wdać się w regularną walkę. Zniszczono wyłącznie akta i dokumenty znajdujące się w szafach posterunku milicyjnego, podpalono budynek Straży Kolejowej, po czym partyzanci powrócili do Horodnianki, na skraj Puszczy Knyszyńskiej.

Teofila którejś soboty otrzymała od nich pieśń, którą dołączyła do swojej tercjarskiej modlitwy:

O, Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!
Wołamy z cudzych stron do Ciebie
O polski dach i polską broń.

O, Boże, skrusz ten miecz,
Co siekł nasz kraj.
Do wolnej Polski nam
Powrócić daj!
By stał się twierdzą
Nowej siły
Nasz dom, nasz kraj.

O, usłysz, Panie, skargi nasze,
O, usłysz nasz tułaczy śpiew!
Znad Warty, Wisły, Niemna, Sanu
Męczeńska do Cię woła krew!

W poszumie drzew, o Twórco, Panie,
Błogosław nasz żołnierski trud.
Cokolwiek stało się lub stanie,
Nie damy Kresów – to nasz ślub[8].

– Zrozum – zwróciła się do mnie – naszą bronią jest szycie ubrań, pieczenie chleba i rozwaga, by nie wpaść w łapy „władzy ludowej". Donosicieli chętnych do zrobienia kariery jest bardzo wielu. Zresztą, nasze patrole dywersyjne wciąż robią nagłe wypady, podczas których wykonują wyroki śmierci na członkach partii, popierających nowe rządy. Wielu z nich to pracownicy naszej fabryki włókienniczej.

8 Jan Kowalski, *Modlitwa obozowa*. Pieśń powstała w 1939 roku w obozie internowania w Rumunii i dzięki pośrednictwu tzw. cichociemnych dotarła do okupowanej Polski.

Po czym, zgodnie z obowiązującym ją rytuałem, ułożyła na stojącym przy łóżku krześle codzienny ubiór, którego kolor nie mógł być ani zupełnie biały, ani zupełnie czarny. Najczęściej nosiła skromną tunikę z pospolitego materiału. Przepisy zakonne były w tej kwestii jasne i należało ich bezwzględnie przestrzegać. Teofila trzymała w podłużnej komodzie płaszcz i suknię, a także opończę konopną, uszytą bez fałdów. Tercjarce nie wolno było używać jedwabnych przepasek i wstęg. Tylko podczas uroczystości kościelnych nakładała futro barankowe, brała do ręki skórzaną torebkę bez żadnych ozdób, dając w ten sposób znak, że w swoim życiu odrzuca wszystkie marne nimby świata.

Rozmyślając o wzorze doskonałego tercjarza, włożyła szarą nocną koszulę, uklękła przed obrazem Matki Bolesnej i zamyśliła się. Chciała się modlić, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie żadnego zdania, jakby coś unieruchomiło jej umysł. Noc gęstniała za framugami okien. W tym dosyć nienaturalnym spokoju Teofila usłyszała delikatne stukanie w ścianę i mój stłumiony głos:

– Teofilo, Teofilo, przyjdź do mnie, jestem w kuchni, przyjdź szybko.

– No, dlaczego wołasz mnie o tak późnej porze? – na cały głos zapytała Teofila, dopinając ostatni guzik naramiennej narzutki.

– Bo bodaj pół godziny temu przyszedł sąsiad, ten z domu po przeciwległej stronie ulicy, i powiedział, że z Rosji wrócił jego szkolny kolega. Że spotkał tam pewną kobietę, niemal zdziczałą i wychudzoną do granic, która rozpaczliwie poszukiwała swoich dzieci. Gdzieś się zawieruszyły, jak z łkaniem wyznała, podczas jakiegoś sowieckiego gwałtu. On o nich nic nie wiedział, lecz po jakimś czasie usłyszał, że ta kobieta umarła z głodu, nie odszukawszy swoich pociech. Zapamiętał tylko jej imię: Eugenia.

– Boże – wyjąkała Teofila. – To twoja siostra, ale co z jej dziećmi? Nic o nich nie wiedział?

– Chyba nie, mówił jedynie o Eugenii, o nikim innym. Starał się, przynajmniej tak stwierdził, rozpytywać w miejscach, które odwiedzał, czy nie widziano gdzieś w okolicy zbłąkanych polskich sierot, ale nikt o żadnych takich dzieciach nie słyszał.

– Może ktoś je przygarnął? Nie martwmy się na zapas – z odczuwalną rezygnacją w głosie, wprost do ucha Franciszki szepnęła Teofila, ciężko siadając na stołeczku opartym o ciepłe kafle pieca. – Biedna Gienia, nasza kochana Gienia, odważna, pełna wiary w Boga i w ludzi, co dnia uśmiechnięta, trochę niepogodzona z losem.

– Zawsze bałam się, że Gienia już z tej tułaczki nie wróci, że dopadnie ją śmierć w syberyjskiej tajdze. No i stało się. Jakieś zło wisi nad nami.

– Skądże – kategorycznie odrzekła Teofila. – Czy wyobrażasz sobie, że Bóg pomyślał świat całkowicie doskonały, w którym mielibyśmy istnieć, jak w złotej klatce. Nie, nie.

Zastanów się, gdyby nie cierpienie, czy bylibyśmy prawdziwymi ludźmi? Pamiętasz, jak było w początkach wojny, kiedy jeszcze zamieszkiwaliśmy w jednym domu; jak dobrze nam się żyło z Żydami, którzy mieli sklep tuż obok. Józef nigdy nie żywił do nich urazy, zupełnie nie okazywał wobec nich gniewu, jak to czyniło wielu jego kolegów, nawet się z właścicielem sklepu zaprzyjaźnił. Kiedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia albo Wielkanocy, otrzymywał od niego jako stały klient worek mąki, śledzie, kartofle, a niekiedy też jedno pęto kiełbasy, chyba z koniny. Cóż to były za rarytasy! Wówczas Józef biegł do tego Żyda (wyszło mi z pamięci jego imię) i popijał z nim wódkę, ale, jak zaręczał, tylko dla smaku.

– Myśmy Żydów mieli za bliskich sobie. Lubiłam ich szabasowe zebrania, stroje, pląsy, bo sama cenię dobrą zabawę – wyznałam wprost.

– Szczególnie, kiedy wkładałam czarną sukienkę, nakręcałam papiloty z kokardką z przodu, wtedy czułam się jak jakaś królewna.

– Coś takiego – zadziwiła się Teofila.

– Ano… tak było – potwierdziłam ochoczo. Dzisiaj nic już z tego nie pozostało. Wojna zabrała nam szczęście. Nie ma też i naszych Żydów, których Niemcy wywieźli na stracenie. Nie wszystkich. Pani Ostaszewska – opowiadano mi o tym – zawinęła żydowskie dziecko, które przechowywała na strychu, w szeroką chustę. Kiedy Niemcy podczas łapanki wepchnęli ją do wozu, zdołała jeszcze odrzucić do tyłu chustę z tym chłopczykiem, i dzięki temu on się uratował. Co się z nim później stało, nie wiem? – Ale, Teofilo, mamy za co Bogu dziękować. Nie przywrócimy Eugenii życia, lecz może jej dzieci przeżyły. Nie znamy wyroków Pańskich.

Już dniało, kiedy pogasły światła w dworku. Sprawdziłam, czy Zenek z Irenką śpią i siadając na taborecie, oparłam się o kuchenny kredens. „Czy nie lepiej byłoby już umrzeć?" – zapytałam samą siebie. Świt nie chciał mnie wspomóc.